

Bombą ostatnich tygodni, a może nawet sezonu, jest przedstawienie „Indyka” Mrożka w krakowskim Teatrze Starym. Jest to orgia drwiny i udawanej naiwności, spod której przebiera w sposób widoczny obraz satyryczny – rozkładu woli, paraliżu, ogólnej niemożności i „nie chce mi się”. Nietrudno w tym doszukać się podobieństwa z „Weselem”, wobec którego „Indyk” spełnia rolę swego rodzaju repliki. Tylko, że obrachunek Mrożka nie jest w odczuciu widza tragiczny. Drwina ratuje sytuację, bo trudno wprost uwierzyć w rzeczywistość obrazu.

Spektakl jest do tego stopnia jednolity, że trudno oddzielić tekst od kształtu scenicznego, reżyserię od scenografii, a od wszystkiego – grę aktorów. Dyscyplina, narzucona przez twórcę przedstawienia Lidie Słomczyńską sprawiła, że nawet Skarżyńscy wyrzekli się swoich wdzięczków i skomponowali scenografię, poddającą się całkowicie tekstowi i ironicznemu realizmowi w stylu Mrożka. Równie znakomicie wypełnili swoje role aktorzy: Jabczyński (Kapitan), Herdegen (Poeta-dekadent), Ziętarski (Książę) i inni.